

Ihor Maruszczyk

Czornobyl. Miejsce przekłete?

Wjazd do „wymarłego miasta” Prypiat’

Materiał ten powstał jako wynik reportażu radiowego, który pomagałem realizować. Dziennikarz radiowej „Trójki” Tomasz Jeleński namówił mnie na zrobienie go ze względu na zbliżającą się wtedy 25. rocznicę wybuchu atomowej elektrowni w Czornobylu. Tomek wiedział, że byłem w Kijowie, gdy to się stało. Zorganizowaliśmy więc wyjazd. Załatwiliśmy pozwolenia na wjazd do zamkniętej strefy, umówiliśmy spotkania. Tomek nagrywał materiał dźwiękowy, a ja dokumentowałem nasze działania na zdjęciach.

Artykuł nie jest zbiorem dokumentów, przedzieraniem się przez archiwa, lecz relacjami osób przesiedlonych z miasta Prypiat’, którego mieszkańcy pracowali w elektrowni, relacjami likwidatorów skutków awarii, obecnych pracowników zamkniętej strefy, osób zaangażowanych w pomoc poszkodowanym w wyniku awarii oraz moimi wspomnieniami z tego czasu. Nie analizuję też bezpośrednich przyczyn, które doprowadziły do eksplozji reaktora. Koncentruję się w nim na przedstawieniu tego pamiętnego dnia, tj. 26 kwietnia 1986 r. i zdarzeń następujących dni, a więc krótkiego czasu zaraz po awarii. Przy relacjach tych osób korzystałem z zapisów wywiadów nagranych w tym czasie przez Tomka Jeleńskiego.

Utarło się wiele nazw na określenie miejscowości, gdzie znajduje się atomowa elektrownia: Czarnobyl, Czernobyl, ale tutaj będę używać może mało rozpowszechnionej w Polsce, jednak najbardziej prawidłowej, bo ukraińskiej nazwy, a mianowicie **Czornobyl**. Nazwa miasta Prypiat’ będzie pisana przez „t” z apostrofem [t’], które należy czytać miękko – taka jest oryginalna wymowa. Natomiast na określenie atomowej elektrowni w Czornobylu na Ukrainie jest powszechnie używany skrót AES lub Czornobylska AES.

Czy jest coś takiego na świecie, że nad pewnymi miejscami ciąży klątwa? W dzisiejszych czasach brzmi to może absurdalnie, ale czy fakty, tragiczne fakty, mogą to potwierdzać? Czy atomowa elektrownia w Czornobylu jest właśnie takim miejscem?

Zła sława o Czornobylu ciągnie się na Ukrainie od stuleci. Znalazło to swoje odzwierciedlenie w żywych do dziś podaniach ludowych.

Od XII w., kiedy powstała osada Czornobyl, były to tereny nieco zapomniane przez ludzi i Boga. Poleszczycy, tutejsza rdzenna ludność, wierzą, że awaria w elektrowni jest zemstą ich pradawnych bogów, za to, że zakłucano ich spokój. Z tym echem fatalnej sławy Czornobyli stykali się często mieszkańcy Prypjati. Słyszeli, że na elektrownię wybrano niedobre miejsce – przekłete, tak mówiły tutejsze stare kobiety, zawsze żegnając się przy tym. Jednak te zabobony nie były pozbawione pewnych racji. Jeszcze przed rozpoczęciem budowy geolodzy uprzedzali, że na tym miejscu nie należy stawiać elektrowni, bo teren znajduje się na niestabilnych błotnych gruntach utworzonych z rzecznych rozlewisk.

Wkrótce po 26 kwietnia 1986 r. na Ukrainie i w Polsce zaczęto utożsamiać wybuch i potężne skażenie z przepowiednią zawartą w Apokalipsie św. Jana:

„I trzeci anioł zatrąbił: i spadła z nieba wielka gwiazda, płonąca jak pochodnia, a spadła na trzecią część rzek i na źródła wód. A imię gwiazdy zowie się Piołun. I trzecia część wód stała się piołunem, i wielu ludzi pomarło od wód, bo stały się gorzkie”.

Wreszcie Czornobyl to jedna z ludowych nazw piołunu zwyczajnego używana na Ukrainie od wieków.

Dzisiaj według różnych źródeł tylko na Ukrainie na blisko 3 mln osób ocenia się liczbę poszkodowanych – ofiar śmiertelnych i tych, którzy doznali utraty zdrowia w wyniku katastrofy w atomowej elektrowni w Czornobylu.

Tak to było w Kijowie w 1986 roku

W 1986 r. byłem na semestralnej praktyce w Kijowie. Przyjechaliśmy na początku lutego i mieliśmy uczestniczyć w zajęciach na Uniwersytecie Kijowskim im. Tarasa Szewczenki do lipca. Jednak stało się inaczej. Pod koniec kwietnia niemal cała moja grupa wyjechała do Polski na święta wielkanocne, a ja w nocy z 25 na 26 kwietnia pojechałem do rodziny w okolice Lwowa. Tej samej nocy o godzinie

1:23 lub jak podają inni 1:26, wtedy czasu moskiewskiego (2 godziny różnicy), nastąpił wybuch na 4. bloku w Czornobylskiej elektrowni atomowej.

Oficjalne komunikaty w radiu i telewizji radzieckiej o tym wydarzeniu zostały podane dopiero w pierwszych dniach maja – po manifestacjach pierwszomajowych. Pamiętam ten moment, bo były to wieczorne wiadomości w telewizji i ciotka, słuchając komunikatu, powiedziała, że musiało się stać coś naprawdę poważnego.

Po tym w ciągu kilku dni wróciłem do Kijowa, by uzyskać pozwolenie na powrót do Polski. Otrzymałem je dopiero w czerwcu. Stolica już wtedy ponad dwumilionowa, wyglądała niesamowicie. Do mojego wyjazdu 25 kwietnia ulice, autobusy, metro, parki, były pełne gwaru dzieci i młodzieży, a teraz przesywała je paralizująca cisza. W mieście można było spotkać tylko dorosłe osoby i emerytów. Kijów jakby wymarł. Jak dowiedziałem się wtedy od znajomych, niemal każda rodzina starała się wywieźć swoje pociechy jak najdalej z miasta. To na zachodnie tereny Ukrainy, to na południowe czy wschodnie lub do innych republik Związku Radzieckiego – jak najdalej od promieniowania. Wtedy wywieziono dzieci w wieku do 15 lat, jak dowiedziałem się o tym znacznie później.

W pierwszych dniach maja, gdy wieść rozeszła się po ulicach miasta, bo przyjechały pierwsze transporty przesiedleńców z miasta Prytiat' i okolic elektrowni czornobylskiej, a jeszcze przed oficjalnym komunikatem władz, ludzie wręcz natarli na dworzec kolejowy i lotnisko. Dworzec wyglądał tak jak podczas II Wojny Światowej, gdy na Kijów szli Niemcy – totalny *exodus*, tak o tych dniach opowiadała mi Roksana, nasza opiekunka z uniwersytetu.

Wiosna w 1986 r. do Kijowa przyszła nagle. Pod koniec marca temperatury z bliskich zera skoczyły raptem do niemal 20 stopni, było słonecznie. A potem było jeszcze cieplej i niemal nie padały deszcze, co spotęgowało tylko negatywne skutki wybuchu – radioaktywny pył w powietrzu. Jak należy się zachowywać, co robić, co można jeść lub należy spożywać, a czego się wystrzegać, nie było takich oficjalnych komunikatów. Co miałem robić, wiedziałem jedynie dzięki zaprzyjaźnionym fizykom, pracownikom Akademii Nauk Ukrainy, z którymi utrzymywaliśmy bliskie kontakty. To oni powiedzieli mi, że trzeba często brać prysznic – im chłodniejszy tym lepszy, okna mieć szczelnie zamknięte, nie jeść nabiału, spożywać soki, ale te ze słoików, tych rozlewanych na ulicy wystrzegać się. Natomiast wieść o korzystnym działaniu czerwonego wytrawnego wina rozeszła się

po mieście jakoś samoistnie, bo kupowane było niemal w ilościach hurtowych i szybko je wymiatało ze sklepowych półek.

Pamiętam taki epizod, kiedy to w naszym sklepie osiedlowym, mieszkaliśmy na wyjeździe w kierunku Odessy, młody żołnierz poprosił mnie, żebym mu kupił cały plecak tego zbawiennego wtedy trunku. Prosił mnie dlatego, że w tym czasie w byłym ZSRR panował tzw. „suchy zakon”, czyli prohibicja i wszelkie alkohole sprzedawano tylko osobom powyżej 21 roku życia za okazaniem dokumentu tożsamości, a do wojska brali chłopców w wieku 18 lat, czy to po skończeniu szkoły średniej, czy też prosto z uczelni. Ten żołnierz nie miał 21 lat, ale do swojego plecaka zapakował, zdaje się, ze 20 butelek.

W pamięci dosyć dobrze mi się zakodowały polewaczki, które jeździły po ulicach Kijowa. Nigdy wcześniej nie widziałem na Ukrainie takiego mycia ulic, ani nigdy później. Jeździły od wczesnego ranka do wieczora, jedna a często po dwie naraz. Przez cały maj i pierwsze dni czerwca 1986 r. w Kijowie nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Wspomnienia mieszkańców „wymarłego miasta”

Walentyna Jermakowa – mieszkanka miasta Prypiat’

„Słyszałam ten wybuch na AES. Nawet zapytałam swojego męża, czy czasem nas nie bombardują, taki był silny. Później był drugi – już słabszy. Mój mąż pracował na 4. bloku, przygotowywał go do uruchomienia. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

Koło godziny 3 po południu w niedzielę 27 kwietnia pod nasz blok zajechały autobusy – po jednym na każdą klatkę schodową. Na zebranie się nie mieliśmy nawet dwóch godzin. Oficjalnie powiedziano nam, żeby wziąć tylko dokumenty i pieniądze, niczego innego nie zabierać, bo niedługo wrócimy. I tak wywieźli nas z Prypiati. W jedną stronę jechały autobusy, a w drugą wozy opancerzone wojsk chemicznych. Stare kobiety, co stały przy drodze, żegnały nas znakiem krzyża”.

Głos Walentyny zaczął się łamać. Kobieta na chwilę zaniemówiła. Głęboko nabrała powietrza i opowiadała dalej.

„Chcieliśmy powiadomić moich rodziców – oni mieszkali w Rosji, co się stało i że żyjemy, ale na poczcie pani w okienku nie przyjęła nam telegramu o takiej treści. Więc wysłaliśmy im telegram z życzeniami z okazji 1 maja, aby w ten sposób

dać znak życia. Rodzice zdziwili się bardzo i zaniepokoiili, bo wieści o katastrofie już do nich dotarły. Tu takie nieszczęście się wydarzyło, a my z takimi życzeniami. Po otrzymaniu telegramu mój ojciec pojechał nas szukać. Znaleźliśmy się, ale wyjechać z Kijowa w te dni było bardzo trudno. Na głównym dworcu kolejowym można było kupić bilet tylko na zaświadczenie, że jest się ewakuowanym z Prypiati. Po bilet trzeba było stać cały dzień. Bilety były nie takie jak zazwyczaj – nie zawierały numeru pociągu, czasu odjazdu, tylko był na nich wypisany kierunek, np. Kijów–Moskwa”.

Nadija Wróblewska – nauczycielka fizyki, mieszkanka miasta Prypiat’
„26 kwietnia – to była sobota. Samochody jeździły i myły drogę. Woda mocno pieniała się, a po niej na bosaka biegały dzieci i śmiały się. Polewaczki na ulicach nikogo nie dziwiły. To była kiedyś u nas normalna praktyka w miastach. Ale ta piana była czymś, czego wcześniej jeszcze nie widziałam. Nad miastem w ciągu dnia była poświata. Ile razy po awarii byłam w Prypiati? Może z raz albo dwa po dokumenty z mieszkania. To było jeszcze w 1986 r. Ale później już więcej nie pojechałam. Nie chcę oglądać Prypiati zarosłej, zrujnowanej, chcę ją pamiętać taką, w jakiej żyliśmy do 1986 r.”

Z oczu pani Nadi stoczyło się kilka łez.

„Tam zaczynało się nasze dorosłe życie, nasza rodzina”.

Tetiana Cybułska – sekretarz organizacji „Krajanie”, zrzeszającej osoby ewakuowane z Prypiati

„W tym czasie pracowałam w zakładach radiowych „Jupiter”. W sobotę 26. poszłam do pracy. Ale na wartowni nas zatrzymali i zawrócili do domu. Tego dnia dużo ludzi spacerowało po mieście i robiło zakupy. Na codzień towaru w sklepach było niewiele a dzisiaj, niewiadomo dlaczego, do sklepów rzucono go dużo. W sobotę widziałam już w mieście wojskowe wozy opancerzone. I... dziwne milczące spojrzenia żołnierzy. Wtedy ich nie rozumiałam – o co im chodzi? Po jakimś czasie, już później, ludzie mi powiedzieli, że żołnierze mieli rozkaz niczego nam nie mówić, tym bardziej nie mówić jak jest niebezpiecznie. Wszystko zostało utajnione. Dlatego tak wiele osób ucierpiało. Nie było żadnych oficjalnych powiadomień, jak należy się zachować, co robić. Po tym jak 27 kwietnia przewieźli nas z Prypiati do nieco oddalonych miejscowości, w pierwszych dniach maja

pojechaliśmy do mojej mamy. Do Czernihowa dostaliśmy się koleją. Tam sprawdzili nas dozymetrami. Kazali ściągnąć całe ubranie. Córkę trzeba było ostrzyć na łyso, bo jej włosy były tak mocno napromieniowane”.

Pani Tetiana zamyśliła się na chwilę.

„Ubranie wydano nam już nie według rozmiaru i nie według płci (damskie, męskie), ale takie jakie im zostało”.

Kobieta z klubu „Krajanie” – mieszkanka miasta Prypiat’

„Jak przywieźli nas autobusami do Kijowa, to obok stały kany z mlekiem i kazali nam pić. Pić dużo mleka, a później pobierali krew do analizy”.

Kobieta pogładziła głowę dłonią i położyła ją na stole. Spojrzała na Tomka milczącym wzrokiem i dodała:

„Myślałam, że nas ewakuują gdzieś na 8 dni, bo tyle wynosi czas półrozpadu jodu, a tu okazało się, że na całe życie”.

Jurij Samojlenko – Prezes Ukraińskiego Ekologicznego Stowarzyszenia „Zelenyj Swit”

„Gdy zrozumiałem, że dłużej w Kijowie nie mogę już przebywać, wziąłem samochód i powiozłem syna i córkę do Rosji. To, co mnie zdziwiło, kiedy zbliżyłem się do umownej granicy między Rosją a Ukrainą, wtedy żadnych realnych granic między republikami radzieckimi nie było, że tu stoi posterunek graniczny. Zanim nas wypuścili z obwodu charkowskiego do biełgorodzkiego – już na terenie Rosyjskiej Federacji, dokładnie zaczęli nas sprawdzać dozymetrami i nie przepuścili. Zawróciłem do Charkowa. Zajechałem na myjnię. Wymyłem samochód, wyczyściłem wszystko i ponownie pojechałem na ten sam posterunek graniczny. Tym razem przejechaliśmy. Dopiero wtedy naprawdę zrozumiałem, jakie to jest przerażające. Jak wcześniej dochodziły do mnie tylko słuchy od znajomych, to po kontroli na granicy zrozumiałem, jak ogromne może być rzeczywiste zagrożenie”.

Mykoła Isajew – likwidator na czornobylskiej elektrowni do 1991 r., obecnie Przewodniczący Ogólnoukraińskiej Czornobylskiej Partii Narodowej

„26 kwietnia 1986 r. zebraliśmy się w Prypiati tam, gdzie zawsze z rana, by jechać do pracy do elektrowni. Ci, co pracowali w służbach dozymetrycznych wyjeźli

swoje urządzenia (mieli wojskowe o większej skali) i odczytali ze wskazań 2 rentgeny. To były wysokie dozy i wszyscy się zaśmiali, bo nikt im nie uwierzył. Nigdy nie mieliśmy tutaj takiej awarii.

Autobus spóźniał się. Nie przyjechał o 6, lecz dopiero o w pół do ósmej. To było dziwne. Wcześniej nie zdarzały się takie spóźnienia. Tu wszystko działało jak w zegarku. Gdy jechaliśmy autobusem, spostrzeżliśmy, że samochody, które przyjechały do nas na bazar, a dużo wtedy przyjeżdżało do nas ludzi z Białorusi, były odholowane do lasu. Przejechaliśmy most, a za nim już stała milicja z karabinami maszynowymi. Zatrzymali nas. Wojskowym gazikiem podjechał do nas generał Biedow. Jechaliśmy wymienić zmianę, na której nastąpił wybuch.

Przejeżdżając obok 4. bloku, zobaczyliśmy, że nie ma na nim dachu. Spytałiśmy przełożonych, co się stało z reaktorem? Odpowiedzieli nam, że w nocy był wybuch, ale sam reaktor jest cały.

Pracowałem na 1. i 2. bloku. Kiedy przyszedłem do siebie, chwyciłem pierwszy lepszy dozometr, bo nie mogłem znaleźć swojego i pobiegłem na punkt oczyszczania wody. Gdy się zjawiłem, to akurat jeden z operatorów wymiotował. Zapytałem: „Wasył, dlaczego wymiotujesz, może coś zjadłeś i zaszkodziło?” Na elektrowni w stołówce mieliśmy specjalną dietę. Wasył odpowiedział, że nie. Na siódmej turbinie dach się zawalił i pobiegł tam wraz z mechanikiem zobaczyć, co się stało. Wtedy zorientowałem się, że awaria jest bardzo poważna i postanowiłem sprawdzić, jaką dozę promieniowania już otrzymałem. Otworzyłem dozometr i zamarłem – pokazywał 100 rentgenów.

O godzinie 12 włączyła się dźwiękowa instalacja alarmowa, następnie zapaliło się światło zielone i od razu czerwone. To był sygnał, że jest wysokie promieniowanie i należy natychmiast opuścić miejsce pracy, używając wszelkich środków do ochrony przed promieniowaniem radioaktywnym. Ale nie pozwolono nam opuścić swoich stanowisk i tak odpracowałem swoją zmianę do godziny 18. Kolejna zmiana również była spóźniona o 2 godziny.

Jak już wróciłem do domu, powiedziałem żonie, żeby zabrała dzieci z pokoi, których okna wychodziły na reaktor. W tych pomieszczeniach zasłoniliśmy okna i zamknęliśmy je szczelnie. Usiedliśmy w kuchni, żeby się zastanowić – co się dzieje, co robić. Reaktor jak wulkan bulgotał i od czasu do czasu, raz na godzinę, na dwie, ukazywało się w nim światło malinowego koloru – wybuchnie i przycichnie. Włączyliśmy „kolchoźnik” i zaczęliśmy pakować walizki. Spodziewali-

śmy się ogłoszenia komunikatu o ewakuacji, bo z tego, co ujrzałem w ciągu dnia, wiedziałem, że już jest po reaktorze. Jednak w nocy komunikatu nie nadano.

27 znowu udałem się do pracy. Tym razem do reaktorów jechaliśmy z innej strony, od straży pożarnej. I wtedy zobaczyliśmy jak naprawdę wyglądał 4. blok. Przypominał mi otwartą walizkę, wokół której porzrucano jej zawartość. Urządzenia ważące po 80 ton leżały beładnie poza budynkiem. Widok nas poraził. Autobus zatrzymał się. Staliśmy tak, wpatrując się w te ruiny przez dobrych kilka minut.

Gdy przyjechaliśmy do pracy, oznajmiono nam, że Prypiat' zostanie ewakuowana. Do miasta już zmierza kolumna licząca 1900 autobusów, a my zostaniemy w elektrowni. Od razu dali nam do podpisania oświadczenia, że jesteśmy świadomi, że mamy stan wyjątkowy i nie możemy porzucić swoich stanowisk oraz miejsca odpoczynku bez pozwolenia. Nasza jednorazowa doza teraz będzie wynosić 50 rentgenów. Roczna doza promieniowania w elektrowni atomowej była przyjęta na poziomie 5 rentgenów, a awaryjna 25”.

Ofiary

– Ile osób ucierpiało lub zginęło w wyniku awarii?

To było jedno z powracających pytań, które zadawał Tomek poszczególnym naszym rozmówcom.

Dokument Ministerstwa Zdrowia Ukrainy z dnia 19 września 2005 r. mówi o liczbie ponad 500 tys. ofiar śmiertelnych, ale jednocześnie zaznacza, że nie zawiera danych z 1986 r.

Ukraińska encyklopedia *USE* wydana w 2001 r. podaje liczbę blisko 600 tys. osób, które zostały napromieniowane.

Różne organizacje związane z pomocą ofiarom Czornobyelskiej katastrofy podają liczby rzędu 2,5 do 3 mln ofiar śmiertelnych i poszkodowanych, żyjących w granicach obecnej Ukrainy.

Dzisiaj dotarcie do rzeczywistych danych będzie bardzo trudne z kilku powodów. Po pierwsze, zaraz po awarii wprowadzono w ZSRR klauzulę tajności na wszystkie informacje dotyczące Czornobyli i obowiązywała ona do 23 maja 1989 r. Po drugie, była wydana specjalna dyrektywa nakazująca fałszowanie pierwotnych danych o zachorowalności w skutek awarii w Czornobyli, którą

ujawniono dopiero wiele lat po katastrofie. Tych danych dzisiaj już nie można odtworzyć. Po trzecie, rozmyślnie nie prowadzono porządných medycznych statystyk osób, które doznały uszczerbku na zdrowiu, gdyż państwo musiałoby płacić im z tego tytułu renty lub odszkodowania.

Każdy widzi tragedię przez własny pryzmat i myślę, że kiedy my tak na nią spojrzemy, to będzie ona bardziej ludzka.

Sekretarz organizacji „Krajanie”, pani Cybulska, mówi, że z Czernihowa do usuwania skutków awarii zostało zmobilizowanych 17 tys. mieszkańców, z których 7 tys. już nie żyje, a z pozostałych kolejne 7 tys. zostało inwalidami.

Mykoła Isajew wspomina, że z 300 osób, z którymi pracował, 150 już zmarło.

Natalia Preobrażenska, biochemik i ekspert Narodowej Komisji ds. Ochrony Ludności Ukrainy przed Radiacją, wymienia liczbę 50 tys. kobiet w ciąży, które nie donosiły swoich dzieci – poroniły. To były dane za lata 1986 i 1987. Dodaje: „Nasza organizacja przeprowadziła badania dzieci rodziców, którzy byli napromieniowani w wieku 8–12 lat w 1986 roku. W 2007 przebadaliśmy 115 dzieci i u wszystkich stwierdziliśmy objawy chorób wywołanych promieniowaniem. Jest to zestaw kilku chorób, które występują w takich przypadkach – choroby układu pokarmowego, a w szczególności wątroby, powiększenie tarczycy, szybkie zmęczenie, wszelkiego rodzaju alergię. Co gorsza, zmiany w ludzkim DNA będą zachodzić do 7 pokolenia”.

Jak pokazują nawet te niepełne statystyki prowadzone przez państwo, z roku na rok liczba zgonów w wyniku napromieniowania nie maleje, a rośnie. Przytoczę tu kilka liczb ze wspomnianego wcześniej dokumentu Ministerstwa Zdrowia: w 2001 r. – 36 986 osób, w 2002 r. – 37 259, w 2003 r. – 38 613, w 2004 r. – 38 524.

W zamkniętej strefie

Strefa zamknięta to obszar o promieniu blisko 30 km od elektrowni. Wjazd do niej jest ściśle kontrolowany i wymaga specjalnych zezwoleń. Wyrobienie stosownego dokumentu zajęło nam niemal tydzień, ale gdy 15 kwietnia przybyliśmy do miejscowości Dytiatki, w której znajduje się wjazd do strefy, stosowne zezwolenie zostało już przesłane faksem z Państwowego Departamentu Administracji Zamkniętej Strefy.

Kilka kilometrów za punktem kontrolnym zatrzymaliśmy, by przeczytać białą tabliczkę stojącą przy drodze. Informowała ona, że w tym miejscu była wieś Czerewacz i 473 jej mieszkańców ewakuowano 4 maja 1986 r. do obwodu kijowskiego. Ale to nie była jedyna taka tablica. Ze strefy wysiedlono ponad 130 tys. osób. Wszystkie miejscowości w zamkniętej strefie są puste i zarośnięte, a niektóre, jak wieś Kopaczi przy samej Prypiati, zostały zrównane z ziemią za pomocą ciężkiego sprzętu i zasypane warstwą gruntu ze względu na wysoki poziom radiacji. Po wsi zostały tylko gdzieniegdzie widoczne szczątki sadów.

To, co niemal natychmiast zwróciło naszą uwagę, to zalegająca cisza. Nie słychać ptasiego świergotu, tylko szum wiatru. Ta cisza towarzyszyła nam w całej tej zamkniętej krainie.

W strefie nie widać żywych zwierząt prócz kilku kotów i psów, które spotkaliśmy w Czornobylu przy biurze „Czornobylinterinform” – organizacji, która zajmuje się obsługą osób odwiedzających strefę. Z tego, co słyszeliśmy, zwierzęta ponoć są odławiane, by eliminować te zmutowane i „potworki”. Samorzutne mutacje to skutki katastrofy, powiedziała nam dzień wcześniej pani Natalia Przeobrażeńska. W Żytomierzu znajduje się muzeum zmutowanych zwierząt. Okazy zostały spreparowane. „Sama widziałam – mówi pani Natalia – fotografie żrebaka z dwoma głowami czy z ośmioma nogami, widziałam też zdjęcia dwugłowych żmij”.

Gdy wybieraliśmy się do strefy, nasze wyobrażenia były diametralnie odmienne od tego, co zobaczyliśmy i przede wszystkim odczuliśmy. Po pierwsze, człowiek spodziewał się jakiś ruin, zgliszczy, widocznych oznak kataklizmu. A tu zobaczył zarastające lasem wsie, opuszczone miasto pochłaniane przez przyrodę, ogrodzoną budowlę z rusztowaniami. Po drugie, wydawało nam się, że radiacji już prawie nie ma. Ulotniła się po tych 25 latach i środowisko jest niemal czyste, tak jak to bywa z różnego rodzaju związkami chemicznymi – rozłoży się i już. No może w pobliżu reaktora coś tam jeszcze pika. A okazało się, że w wielu miejscach na dozymetrze naszego przewodnika włączał się alarm, tak silne było promieniowanie tła. Czego nie spodziewaliśmy się – to ciszy, zaskakuje ona wszystkich przyjeżdżających do strefy, jak dowiedziałem się później od osób, które były w strefie. Ciszy obecnej wszędzie, na każdym kroku, przesywającej człowieka jak promieniowanie.

Na zwiedzanie strefy każda grupa, niezależnie od jej wielkości i charakteru, dostaje przewodnika. Naszym był pan Wołodimir. Pracował tutaj jeszcze przed awarią, a później w służbach kontroli dozymetrycznej.

Ukraińska norma dozy promieniowania stosunkowo bezpiecznej dla ludności cywilnej jest określona na poziomie **30 $\mu\text{R/h}$** (mikrorentgen na godzinę). Dozometr naszego przewodnika, pana Wołodymyra, był wyskalowany w ten sposób, że gdy promieniowanie przekraczało 10-krotnie dozę dopuszczalną dla osób cywilnych, tj. 300 $\mu\text{R/h}$, to pikanie przechodzi w syrenę alarmową. Przewodnik posługiwał się modelem Ekotest „Terra-P”.

Przez wiele lat, wspominając o czornobylskiej awarii i promieniowaniu, mówiło się jedynie o mniej znaczących dla skażenia radioaktywnego pierwiastkach, a mianowicie o jodzie, cezcie i stronczie, gdzie np. czas połowicznego rozpadu cezu wynosi 28 lat. Ale do pełnego oczyszczenia gruntu, jak mówi nasz przewodnik, potrzeba co najmniej 10 takich okresów, tj. ponad 280 lat. W ostatnich latach zaczęto mówić o obecności w Strefie plutonu, którego czas połowicznego rozpadu jest znacznie dłuższy i w zależności od izotopu waha się od 88 lat do ponad 80 mln lat. W przypadku Czornobyli był to przede wszystkim izotop 239 z czasem półrozpadu 24 100 lat. Najwyższy poziom promieniowania jest na trawie, na mchu porastającym drogi, w załomach asfaltu, w okolicach „ryżego lasu” i przy 4. bloku elektrowni. Poziom radiacji na mchu lub trawie bywa nawet 10-krotnie wyższy od tego, który znajduje się tuż obok na asfaltowej drodze. Podobnie jest w załomach asfaltu lub betonu, w tych miejscach przewyższa on 5–10-krotnie promieniowanie tła.

Do 4. bloku przejeżdża się obok „**ryżego lasu**”. Wcześniej rósł w tym miejscu las sosnowy. 26 kwietnia 1986 r. opadło tu najwięcej radioaktywnego pyłu po eksplozji reaktora. Pod wpływem bardzo wysokiego promieniowania sosny momentalnie usychają, robią się rude, po ukraińsku – ryże, i stąd pochodzi nazwa „ryży las”. Jak mówili nasi rozmówcy, bezpośrednio po awarii poziom radiacji przekraczał tutaj 1200 Rentgenów/h (!). Do dzisiaj jest to jedno z kilku miejsc o najwyższym promieniowaniu radioaktywnym. My na dozymetrze naszego przewodnika zarejestrowaliśmy wartości w przedziale 116–756 $\mu\text{R/h}$ w zależności od strony, z której się znajdowaliśmy przy „ryżym lesie”. Obecnie wyrósł tu nowy las. Stary został zlikwidowany w 1987 r. Nowe drzewa to mutanty, powiedziała nam Natalia Preobrażeńska, rosną jak na drożdżach, co w przyrodzie normalnie nie występuje. To samo potwierdził nam pan Wołodymyr, który był tutaj od czasu awarii stale i obserwował, jak wyrasta nowy „ryży las”.

Do 1986 r. na Czornobylskiej AES wybudowano cztery reaktory. Stoją one w jednej linii, dlatego nazwałem to miejsce „aleja reaktorów”. Planowano budo-

wę jeszcze dwóch, ale do tej pory tego zamiaru nie zrealizowano. Reaktory 3. i 4. znajdują się w jednym budynku. Ścianę działową między nimi stawiano już po wybuchu 4. bloku w czasie, gdy panowało tu olbrzymie promieniowanie. Mówi się o wartościach grubo przekraczających 1200 R/h (Rentgenów).

Na żywo blok czwartego reaktora robi koszmarnie wrażenie. Patrząc na niego włos, na plecach nam się jeżył. Wygląda jak olbrzymia hala produkcyjna z lat 70. wykonana z betonu i stali przeznaczona do rozbiórki. Ogrodzona nowiutkim drutem kolczastym wraz z wartownią. W dozymetrze zaczął wyc alarm. Mi ścisnęło się serce. Spojrzeliśmy na skalę – 385 $\mu\text{R}/\text{h}$. 10-krotnie została przekroczona dopuszczalna doza. Przy samochodzie, 20–30 kroków dalej na parkingu, dozymetr wskazywał jeszcze 205 $\mu\text{R}/\text{h}$.

Dzisiaj promieniowanie przy sarkofagu w stosunku do 1986 r. zmniejszyło się milion razy (!), tak uważają naukowcy – mówił nam Wołodymyr. Grunt przy reaktorze wybrano na głębokość 3 metrów i wywieziono, wywieziono również gruz i zmieniono asfalt. To pomogło, ale promieniowania w pełni nie zlikwidowało.

Prypiat' – nowoczesne, młode miasto. Średnia wieku mieszkańców wynosiła tu 26 lat. Założone było w 1970 r. Liczyło blisko 50 tys. mieszkańców – miasto budowniczych i energetyków. Stało się miastem wymarłym po 27 kwietnia 1986 r., gdy przeprowadzono jego pełną ewakuację.

Wjeżdżając do Prypiati, minęliśmy trzeci punkt kontrolny. Miasto, każdy jego zakamarek, wypełnia cisza i spokój. Budynki bez okien wyglądają jak bunkry tonące w lesie. To tworzy niesamowite wrażenie pustki. Zdaje się, że życie w jednej chwili stąd wyparowało. Tę ciszę rozrywają tylko dwa dźwięki. Pierwszy to szum wiatru budzący w człowieku jakąś trwogę, a drugi to nieustanne pikanie dozymetru. W Prypiati promieniowanie tła jest wyższe niż przewiduje to norma, tj. przekracza 30 $\mu\text{R}/\text{h}$ i wzrasta nawet kilkukrotnie w zależności od miejsca.

Powoli lecz nieprzerwanie przyroda pochłania miasto. Wołodymyr zaprowadził nas do jednego z budynków. Ze względu na zły ich stan – grożący zawaleniem, nie wpuszcza się do nich odwiedzających strefę poza ekipami dziennikarzy. Weszliśmy, zdaje się, na 4. piętro i obejrzelśmy dwa mieszkania. W jednym ściany i sufit pokrywały paprocie, a drugie, na tym samym piętrze kilkanaście metrów dalej, wyglądało jakby niedawno opuścili je domownicy.

W tym samym budynku przeszliśmy do mieszkań z drugiej strony korytarza. Rozlega się z nich widok na 4. blok, który w linii prostej znajduje się w odległości 4 do 5 km, to niemalże „rzut beretem”.

Wychodząc z budynku, chciałem zrobić następne zdjęcie, ale aparat odmówił posłuszeństwa. Po 450 zdjęciach akumulator rozładował się całkowicie i padł. Normalnie robię przynajmniej jeszcze drugie tyle. Zapytałem Wołodymyra, co się dzieje. Na to on mi powiedział, że szybkie rozładowywanie się akumulatorów jest jednym ze skutków wysokiego promieniowania tła. W trakcie usuwania skutków awarii z tego właśnie względu nie można było użyć do prac robotów, bo elektronika odmawiała posłuszeństwa i dlatego musieli to robić ludzie.

Tomka sprzęt nie padł, bo w strefie zdecydował się nagrywać na starym, kasetowym „marantz”, bez najmniejszych śladów elektroniki, z mocnymi trzema bateriami alkalicznymi, tzw. grubymi paluchami. Miał też ze sobą cyfrową nagrywkę i minidysk, ale one chyba długo by tam nie podziałały.



W odległości blisko 100 m od ruin 4. reaktora poziom radiacji wynosił $385 \mu\text{R/h}$. Dopuszczalna norma promieniowania dla ludności cywilnej na Ukrainie to $30 \mu\text{R/h}$.

Wyjeżdżając z Prypiati, przejechaliśmy z drugiej strony „ryżego lasu”. Nasz przewodnik włączony dozymetr trzymał w wysuniętej ręce na pulpicie przy kierownicy. W pewnym momencie przyrząd szybko zaczął pikać i po raz kolejny włączyła się syrena, sygnalizując wyjątkowo silne promieniowanie. Wartość przekraczająca **700 $\mu\text{R/h}$** była na odcinku kilkudziesięciu metrów. W samym „ryżym lesie” promieniowanie jest jeszcze wyższe. Ostrzegają o tym charakterystyczne trójkątne tablice. I nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien tam wchodzić, oczywiście poza służbami dozymetrycznymi, które raz w miesiącu dokonują tu pomiarów kontrolnych.

Wyjechaliśmy z krainy reaktorów. W tym momencie dopada człowieka taka refleksja – gdy chodziliśmy po strefie, przerażał nas nie widok budowli, ruin, pustki, lecz dozymetr. Tak, właśnie dozymetr. Jego nieustanne i natrączywe pikanie oraz włączający się alarm, który powodował gwałtowne łomotanie naszych serc i trwogę, bo przypominał o niewidzialnym, ale wszechobecnym panu tych ziem – promieniowaniu.

Na koniec zatrzymaliśmy się w Czornobylu przy pomniku upamiętniającym ratowników. Może nie jest to dzieło sztuki wykonane z finezją, ale ma swoją gorzką wymowę. Projekt pomnika wykonał jeden z likwidatorów na Czornobylskiej AES. Słuchając pana Wołodymyra, który mówił nam o jego powstaniu i ludziach na nim przedstawionych, przypominałem sobie historię opowiadaną jeszcze w 1986 r. przez zaprzyjaźnionych fizyków w Kijowie, że w trakcie gaszenia 4. reaktora strażacy z sikawkami stali po kolana w roztopionym asfalcie. Jest to na pewno jeden ze smutniejszych pomników na Ukrainie obok tych postawionych ofiarom głodu z lat 1932–1933.

Napis na pomniku głosi: „Tym, co uratowali świat”, zapewne jest w tym wiele prawdy, bo całej prawdy o katastrofie w Czornobylu, jak powiedział nam Jurij Samoilenko, do tej pory jeszcze nie wyjawiono i nie wiadomo, czy zostanie ona w ogóle wyjawiona. Jest wiele pytań i niejasności: „Co z tym »fantem« dalej? Ponoć w reaktorze zostało 95% wkładu początkowego paliwa. Jakie pierwiastki transuranciczne utworzyły się po 1986 roku? Blisko 60% ruin 4. bloku zostało przebadanych, ale co kryje pozostałych 40%? Niektórzy w strefie mówią, że w 4. bloku są pierwiastki o wiele cenniejsze niż złoto czy platyna i niezmiernie pożądane przez współczesną technikę. Jaka jest rzeczywista mapa skażenia radioaktywnego?” Pytania mnożą się wręcz lawinowo.

Gdy wyjechaliśmy ze strefy, po kilkunastu kilometrach zatrzymaliśmy się w lesie. Stanęliśmy za samochodem i każdy z nas rozebrał się niemal do slipów trzepiąc z siebie wszystkie rzeczy. Byliśmy ubrani w kurtki typu ortalionowego, spodnie dżinsowe, buty o gładkich powierzchniach i czapki – to ułatwia usuwanie pyłu. Następnie zajechaliśmy do pierwszej miejscowości – to był Iwankiw, wstąpiliśmy do sklepu, by kupić wodę i obmyliśmy twarz, ręce oraz opłukaliśmy obuwie. Samochód dokładnie wymyliśmy już w myjni w Kijowie. Pozwolenie do przebywania w strefie mieliśmy jeszcze na następny dzień. Ale tam już nie wróciliśmy.